Nr. 50.

Warszawa, dnia 1 (13) Grudnia 1871 roku.

ROK VII.

Serya druga.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świa-tu Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwart. (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼ oraz na zapakowanie i ekspedycyę k. 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka nl. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u **Leitgebera**; we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

ZE SMUTNYCH MYŚLI.

. . . . Idź daléj śpiewaku!
Choć ludzi wiele, a serc tak niewiele
Spotkałeś dotąd na żywota szlaku,—
Choć cię zdradzili nawet—przyjaciele,
Idź, w życiu znajdziesz dwie wierne istoty,
Pocieszycielki—bólów i tęsknoty....

* * *

Patrz—tam nad starą biblją pochylona—
Modli się matka twoja, tak zbolała!..
Ze srebrnych włosów zdobi ją korona—
Z wielkich boleści ona, jak trup, biała—
Lecz choć z śmiertelnym do niéj [przyjdziesz grzechem,
Powita ciebie — anielskim uśmie-[chem.

* * *

A ukojony, po bólów roztercе,
Idź i uklęknij przed tą, co gotowa
Dla ciebie wydrzéć z piersi całe serce...
Idź i uklęknij.. i ta, lilijowa,
Pocałowanie złoży na twém czole,
Zrozumie *dolę*, odczuje *niedolę*...

Miron.



Illustracya do wiersza Mirona.

O STOWARZYSZENIACH RĘKODZIELNICZYCH.

W każdém przedsiębierstwie dwa elementy główną grają rolę, a mianowicie: *praca* i *kapitał*. Posiadacz kapitału zowie się *przedsiębiercą*, rozporządzający siłami i zdolnościami pracowniczémi, *robotnikiem*. Cel, w którym pierwszy wkłada kapitał a drudzy pracują, jest jeden i ten sam, t. j. osiągnięcie zysku. Warunkiem osiągnięcia takowego dla przedsiębiercy jest możliwie wielka ilość artykułów, będących przedmiotem wytwórczéj jego działalności, zysk zaś robotników warunkuje się wysokością otrzymanego za swe trudy wynagrodzenia. Daléj—między jednym i drugim zyskiem taki zachodzi związek, że przedsiębierca z otrzymanych korzyści, ze sprzedanych artykułów, musi odłożyć część na zaspokojenie robotników. Zdawałoby się więc, że im mniéj im zapłaci, tém większe zyski osiągnie, inaczéj mówiąc, że im robotnicy mniejsze ze swéj pracy zyski osiągać będą, tém korzyści przedsiębiercy będą większe.

Lecz czy jest tak w rzeczywistości—czy między tymi ludźmi wieczna ma się staczać walka—czy ich interesa w zupełnie przeciwnych się rozchodzą kierunkach?—oto pytanie nieposledniéj wagi społecznéj.

Dziś, ogół społeczeństwa, a bardziéj jeszcze większość przedsiębierców, już zrozumiała całą fałszywość mniemań podobnych,—poznała, że w tym razie, więcéj niż kiedykolwiek mylą pozory, że jedynie tylko złączenie interesu robotników ze swoim interesem, daje rękojmię szybkiéj i sumiennéj pracy i obu stronom należne za ich trudy i poświęcenia, korzyści zapewnia.

Dlatego też, nie jest moim zamiarem dowodzić sprawiedliwości i praktyczności zasad, które już w życie z domyślnym skutkiem wprowadzone zostały. Ale sądzę, że nie będzie od rzeczy, z jednéj strony rzucić okiem w przeszłość, przypomnieć, jakich zasad w urządzaniu stosunków między przedsiębiercami i robotnikami trzymano się w przeszłości—z drugiéj zaś, ukazać na nowy, w naszych czasach powstały, a wszelkie cechy postępu i szlachetności noszący, system łączenia pracy i kapitału, co znaczy—przedsiębierców z robotnikami. Chcę tu mówić o stowarzyszeniu się pryncypałów z robotnikami i robotników między sobą, czyli o tak zwanych *stowarzyszeniach wytwórczych*.

W głębokiéj starożytności, kiedy społeczeństwo na całkiem innych jak dzisiejsze zasadach, było osnowane, powszechnie a nawet powiedziéć można, wyłącznie, używano do pracy niewolników.. Niewolnik wtedy był rzeczą, był własnością swego pana; życie jego wyłącznie od woli pana było zależném; wolno go było zabić—naturalnie więc i pracą przeciążać. Łatwo spostrzedz, że stosunek podobny zupełnie z naturą ludzką jest niezgodny, że jest krzycząco niesprawiedliwém wyzyskiwaniem ludzi przez ludzi. Nie myślę się też szczegółowo rozwodzić nad tym anormalnym fenomenem, gdyż jestem pewny, że żaden z czytelników nie jest jego zwolennikiem. Postaram się tylko wykazać, jak mało praca niewolnicza jest produkcyjną, jakie ona społeczeństwu szkody przynosi.

Tu bowiem robotnicy, nietylko że nie odczuwają interesu, aby ich praca była skuteczną, ale przeciwnie, nienawidząc swego pana za nieludzkie się z nimi obchodzenie, radziby mu nieraz szkodę wyrządzić. Pracują więc o ile muszą, wtedy tylko, gdy surowość dozorcy do tego ich zmusza—a jeszcze praca ta jest tylko machinalną, cała bowiem ich uwaga zwraca się na to, aby skorzystać z chwilowego niedozoru i ulżyć wycieńczonym głodem i pracą członkom. Obok więc całéj szkarady i niemoralności podobnego stosunku, nie przynosi on prawdziwych zysków przesiębiercy; ludzie jego wytwarzają o wiele mniéj, niż mogliby w innych stosunkach wytworzyć, a tym sposobem społeczeństwo i materyalnie i moralnie szkoduje.

Drugie miejsce zajmuje *praca pańszczyźniana*.

Stosunek ten wyrodził się w wiekach średnich między włościanami i właścicielami gruntów. Zasadza się na tém, że włościanin otrzymywał kawał ziemi, którą mu wolno było na własny użytek obracać, a za to był obowiązany przez pewną liczbę dni obrabiać grunta właściciela.

Stosunek ten, w miarę wzmagania się przewagi szlachty w wielu miejscach, szczególniéj w Niemczech, przerodził się prawie w niewolnictwo. Został jednakże zniesionym prawie wszędzie w początku bieżącego stulecia.

Ponieważ pańszczyźniani robotnicy nie mieli żadnego interesu w powodzeniu swego pana, a przeciwnie, często rozdrażnieni uciskiem, radzi mu byli szkodzić,—więc i robota szła opieszale, obie stro-

ny nie były z siebie zadowolone i nie osiągały korzyści osiągnąć się dających.

Podczas, gdy w stosunkach rolniczych praca pańszczyźniana była powszechnie praktykowaną, przemysł i rzemiosła miejskie wprowadziły do siebie system *płacy dziennéj*, która odnośnie do warunków produkcyjności, nie wiele się różni od pracy pańszczyźnianéj. Tu i tam braknie, owego płodnego w skutki węzła wspólności interesu; lepszą jest jednak z tego powodu, iż stosunki są wyłącznie oparte na wolnéj woli wstępujących w umowę. Skoro im się warunki nie podobają,—rozstają się, szukając sobie,—robotnicy, innego pryncypała, a ten ostatni—innych robotników.

Następnie, o wiele wyższe miejsce zajmuje *ugoda od sztuki.* Tu interesem robotnika jest aby mógł zrobić jak najwięcéj, gdyż tém się warunkuje wysokość wynagrodzenia za jego trudy. Tu praca nosi cechę wolnéj woli, każdy robi tyle ile chce, a mimo to jednakże dowiedzioną jest rzeczą, że płatni od sztuki zarabiają najwięcéj i pracują najpilniéj.—Przyczyną tego jest, że każdy człowiek dba przedewszystkiém o siebie; im więcéj z pracy bezpośrednich osiągnie korzyści, tém usilniéj pracuje. Wada ta, jak ją niektórzy nazywają, byle tylko nie wychodziła poza granice prawem i moralnością oznaczone, nie jest wadą, ale dobrym przymiotem; jest źródłem pracowitości i oszczędności, pobudza myślenie, usilność wytwarzania jaknajwięcéj i jaknajlepiéj, co się już w stosunku, o którym obecnie mowa, pokazuje. Mimo to jednak nie można go uważać za najlepszy—ma on bowiem wadę i to ogromną, a tą jest brak podstawy pomyślnego rozwoju przedsiębierstwa, t. j. wspólności między pryncypałem i robotnikiem.. Istotnie, interesa ich poniekąd są z sobą sprzeczne.. Robotnik stara się o to, aby jaknajwięcéj wytworzyć, obojętną zaś jest mu jakość produktu, gdy tymczasem od téj ostatniéj zyski przedsiębiercy w ścisłéj są zależności. Zyskuje się na ilości, lecz na jakości się traci. Bądź co bądź jednakże, system ten okazał się o wiele praktyczniejszym od wszystkich dotąd rozbieranych i dziś u nas nawet we wszystkich celniejszych warsztatach jest wprowadzony, ma się rozumieć o tyle tylko o ile natura wytwarzanych przedmiotów na to pozwala.

Teraz, przechodzimy do systemów w naszych dopiéro powstałych czasach, mianowicie do stowarzyszeń wytwórczych. Są one dwojakie: *stowarzyszenia się pryncypałów z robotnikami, i robotników między sobą.* Wprowadzenie w życie tych systematów datuje od połowy bieżącego stulecia i wzięło początek w Paryżu. Najprzód rozbierzemy system stowarzyszenia *pryncypałów z robotnikami.*

Tu przedsiębierca wnosi kapitał, do prowadzenia przedsiębierstwa potrzebny i sam nadaje kierunek swoim interesom.. Stosunek zaś jego do robtników jest następujący: każdy z pracujących, podobnie jak przy wszystkich innych systemach, otrzymuje płacę dzienną lub od sztuki; płaca ta ma mu służyć na codzienne wydatki. Prócz tego, pryncypał przypuszcza pracujących, przez pewien przeciąg czasu, do części zysków, jakie sam z przedsiebierstwa osiąga, t. j. uważa pracę i zdolność pracowniczą każdego, za pewną ilość kapitału od którego płaci procent, raz w postaci wynagrodzenia codziennego, a drugi, w formie dywidendy, za zasadę obliczania któréj służy ilość dni, w których robotnik pracował; ponieważ zaś, jedni z robotników są pilni i pracowici, a drudzy często poniedziałkują lub i w środku tygodnia nieraz do warsztatu nie stają, stowarzyszenia więc takie organizują się w ten sposób, że każdy do roboty w swoim czasie niestawający, traci raz, płacę dzienną a powtóre, odpowiednią część zysku, który w formie dywidendy jest rozdzielony.

Mając ogólny rys stowarzyszenia pryncypałów z robotnikami, zastanowimy się nad jego praktycznością i korzyściami.

Na początku już wyraziliśmy zdanie, że najgłówniejszym czynnikiem i gwarancyą szybkiego i doskonałego *wytwarzania,* jest połączenie interesów przedsiębiercy z interesami robotników. Wymaganiu temu, w powyższém stowarzyszeniu, jaknajzupełniéj staje się zadość, gdyż wielkość zysków, jakie robotnicy osiągnąć mogą, zależy od renomy zakładu i zbytu towarów wytworzonych. Rozumieją oni to dobrze, a co więcéj, dotykalnie się o tém przekonywają, gdyż corocznie, co miesiąc, lub co kwartał, ich reprezentanci rachunki sprawdzają i wykazują, że im większy był zbyt, tém dywidenda t. j. zysk czysty, jest znaczniejszy. Cóż ztąd za skutek? Oto pracują usilnie, starają się wyrobić o ile możności najwięcéj, a wiedząc prócz tego że ich zyski i od dobroci produktu zależą, usiłują nadać mu prawdziwą wartość i użyteczność. Przedsiębierca ze swéj strony, niepotrzebuje łożyć na administracyą zakładu, nie potrzebuje dozorców, gdyż interes robotników dostatecznie go zapewnia, że robota rychło i dobrze wykończoną będzie; tym sposobem zmniejszają się wydatki na prowadzenie przedsiębierstwa, a tém samém zyski się powiększają.

Na wyższym jeszcze stopniu, tak pod względem moralnym, jak i materyalnym, stoją stowarzyszenia samych robotników między sobą. W podobnych związkach, stowarzyszają się czeladnicy, lub ubodzy majstrowie, wnoszą do jednéj kassy maleńkie nieraz kapitaliki, łączą swe siły i zdolność pracowniczą, aby tak zjednoczeni, łatwiéj i prędzéj dojść do celu, do którego pojedynczo, nieraz całe życie napróżnoby się może dobijali. Na czele spółki tak zawiązanéj, stawiają najzdolniejszych zpomiędzy siebie, oddając im kierunek interesów i nadzór nad robotami. Kapitał, jaki spółce uda się zebrać, obracany najprzód bywa na kupno materyałów surowych, dokompletowanie narzędzi, jakie się w ciągu prowadzenia przedsiębierstwa koniecznemi okażą, najęcie składów i sklepów i tym podobne wydatki. Wynagrodzenie stowarzyszonych za pracę, jaką w interesie towarzystwa łożą, odbywa się zwykle w sposób następujący:

Podobnie jak przy wszystkich systemach pracowania, robotnicy otrzymują płacę dzienną, lub od sztuki, z tą tylko różnicą, że początkowo wynagrodzenie to jest mniejsze jak zwykle, część bowiem zarobkowych pieniędzy jest obracaną na rozwinięcie przedsiębierstwa. Dopiéro, jeśli po pewnym przeciągu czasu okaże się, że przedsiębierstwo takie przyniosło zyski, iż ich część, bez uszczerbku interes ów, może być rozdzieloną między stowarzyszonyoh, rozdzielają ją stosunkowo do ilości dni, jaką każdy z nich pracował. Lecz rzeczy tak się mają tylko z początku przedsiębierstwa; skoro ono się rozwinie i do znaczniejszych rozmiarów dojdzie, każdy z robotników otrzymuje płacę równą, lub wyższą nawet od płacy, jaką otrzymują robotnicy w innych warsztatach. Dywidendę zaś t. j. czysty zysk, który co miesiąc, kwartał, lub co rok między robotnikami jest rozdzielany, stanowi to, co w innych przedsiebierstwach idzie na rzecz pryncypałów lub kapitalistów w ogóle, gdyż chararakter robotnika i pryncypała schodzi się tu w jednéj osobie człowieka niezależnego, pracującego tylko dla siebie, będącego w stanie zapewnić sobie i swéj rodzinie sposób do życia podczas choroby, lub za zbliżeniem się starości. Stan, jaki co tylko przedstawiliśmy, jest stanem, w którym się znajdują podobne stowarzyszenia na miernym stopniu rozwoju będące; inne dawniéj założone, lepiéj prowadzone, posiadają już własne szkoły, w których się uczą bezpłatnie dzieci stowarzyszonych, własne szpitale, na podobnych warunkach swoich chorych przyjmujące,—banki zaliczkowe, kassy oszczędności,—posiadają rozległy kredyt i zaufanie publiczne, słowem dosięgły takiéj pomyślności, o jakiéj stowarzyszający się ledwie zamarzyć mogli.—Pod względem stowarzyszania się w taki sposób robotników, jak wogóle we wszystkich praktycznych urządzeniach, przoduje Francya. Dowody tego damy, przytaczając w streszczeniu kilka wyjątków z dzieła p. Fengueray, pod tytułem: „Stowarzyszenia robotnicze, przemysłowe i rolnicze."

Po rewolucyi w 1848 r. we Francyi, utworzyło się kilka podobnych związków. Jednym z piérwszych, było stowarzyszenie fortepianistów. Mimo znacznych kosztów, jakie do prowadzenia tego przedsiębierstwa są niemal konieczne, początkowo stowarzyszyło się tylko 14 robotników, którzy wnieśli do stowarzyszenia narzędzi za rubli srebrem 800 i gotówką rs. 55, kop. 80 a nadewszystko 28 zdrowych rąk i czternaście głów rozsądnych i serc przejętych zapałem i przeświadczeniem prawości celu, do którego dążą. Naturalnie, zpoczątku interesa szły z wielkim oporem; tysiące się trudności do zwalczenia nastręczało—mimo to jednak, w dwa lata, kapitał stowarzyszonych prócz wartości narzędzi, wynosił rs. 13,172 kop. 95, a liczba wspólników, do 23 dochodziła. Doszedłszy do takiego już stanu, stowarzyszenie szybko się rozwijało i dziś szczyci się sławą jednéj z najlepszych fabryk, któréj sumienność i dokładność w wykonaniu licznych nabywców jedna.

Obraz podobnegoż rozwoju przedstawia stowarzyszenie fabrykantów krzeseł, także w Paryżu. Zjednoczyło ich się 9 ciu, z kapitałem, w narzędziach 92 rs. i w gotówce 34 rs. W dziesięć lat było 65 stowarzyszonych, którzy posiadali kapitał w kwocie 30,750. rs. Podobnaż jest historya stowarzyszenia mularzy i wielu innych rękodzielników, które mimo zazdrości kapitalistów i nieprzyjaznych miejscowych okoliczności, rozwijają się z podziwienia godną szybkością, zapewniając dobrobyt równie jak warunki moralnego i umysłowego kształcenia się tysiącom rękodzielniczych rodzin.

Z przykładów tych więc jasno się pokazuje, że głównym elementem pomyślności zjednoczeń rzemieślniczych, jest dobra wola, pracowitość i wytrwałość. Mogą one służyć za dowód, że i z małémi kapitałami, umiejętnie i sumiennie niémi władając, wielkich rzeczy dokazać można.

Tyle, co do korzyści materyjalnych, z opisanych stowarzyszeń mogących się osiągnąć. — Co do strony moralnéj, to ta niemniéj za ich istnieniem i rozwijaniem się przemawia.

Każdy z uczestników pracuje tu dla siebie samoistnie, posiada wolny głos w sprawach zarządu, tyczących się przedsiębierstwa, wy-

biera jego kierowników, a tym sposobem zapewnia się, że jego interesa na żaden szwank narażone nie zostaną. Tym sposobem, w klassie fizycznie pracującéj, wyrabia się idea obywatelskości, obudza się myśl, przenikliwość i pracowitość. Wpływy te uwydatniły się już na zachodzie. Tam, pracowitość połączona z rozsądkiem, obeznaniem ze stosunkami społecznémi, wcale nie jest rzadkością. Robotnicy oddający się dawniéj pijaństwu i próżniactwu, zaliczeni do stowarzyszonych, tak dalece podnieśli się moralnie, że porzucili gorszące nałogi i dziś do porządnych i pracowitych ludzi należą.

Lecz dotychczas, przedstawiliśmy tylko wygody w podobny sposób prowadzonych przedsiębierstw, wypada więc i o odwrotnéj stronie medalu napomknąć gdyż jak wszędzie tak i tu, na nową drogę wstępujący, spotykają wiele przeszkód, z pozoru nawet do zwalczenia niepodobnych.

Wyżéj się już nadmieniło, że do stowarzyszeń w mowie będących, przystępują tylko czeladnicy lub ubodzy majstrowie, którzy na założenie własnego warsztatu lub fabryki, nie mają funduszu. Tym sposobem kapitał, jakim stowarzyszeni mogą obracać, bardzo małą przedstawia summę. Naturalnie więc, że pierwsze kroki zjednoczonych rękodzielników, choćby żadnych innych przeszkód nie napotykały, muszą mieć na pewne obroty małe kredyt utrudniony, a tak, mogą się oni nieraz ujrzéć w chwilowéj niemożności prowadzenia dalszego przedsiębierstwa. Ale czyż w takiém położeniu nie znajduje się często i każdy początkujący majster, choć pojedyńczo interes prowadzi? Przecie zawsze to nowy jakiś obstalunek w porę się zjawi, to jakieś nowe źródło kredytu się odkryje i przedsiębierstwo idzie naprzód, nabiera sił, a pierwsze przebywszy lody, daléj już swobodnie postępuje. Takby się też rzecz miała i ze stowarzyszeniem. Najgorzéj zacząć, zebrać jakie takie fundusze, a reszty już pracowitość, sumienność i wytrwałość dokaże. W miarę bowiem powodzenia i oswajania się z nowym sposobem pracowania, przybywają wspólnicy, rosną kapitały, a staranne, bo własnym interesem kierowane wykończanie robót, jedna stowarzyszeniu szeroki zbyt i kredyt ułatwia.

Jan Święcicki.

POTWORNOŚCI W PRZYRODZIE

(Z teratologii).

(*Dokończenie.*)

Do zboczeń *w budowie* zaliczamy wyrostki i przysadki rogowate, pokrywające skórę. Najwybitniejszym tego rodzaju potworem był, anglik, nazwiskiem Lambert, przezwany *Jeżoczłowiekiem*, opisany w r. 1802, przez doktora Tilesiusa.

Zrogowaciałości te odradzały się w jego potomkcah, w ciągu trzech pokoleń.

Układ części składających organizm, zbacza też wielokrotnie od normy ustroju zwierzęcego. Mózg, płuca, serce, wnętrzności, nerki... często zajmują wcale nieprawidłowe miejsce. Krzywizny nóg i innych członków są bardzo pospolite; zęby, paznokcie, włosy, rogi, ulegają również zboczeniom, jak naczynia, nerwy, muskuły, wiązadła, najrozmaiciéj poprzestawiane. Nieładу w organach zdarzają się bardzo często. To zęby występują z szeregu, pomieszane, pokrzywione, bez symetryi, jak półk w odwrocie, rozbity przez nieprzyjaciela—to rozmaite kanały ciała szukają dróg im niewłaściwych. Niekiedy brakuje całkiem otworów naturalnych, jakoto: ust, przewodu słuchowego, nozdrzy, powiek, tęczówki ocznéj, otworów do wydzieleń posługujących, i zachodzi potrzeba wytwarzać je sztucznie narzędziem operacyjném. To znowu przeciwnie znachodzimy otwory tam, gdzie ich być nie powinno, jak naprzykład w przeponie, pępku, twarzy. Prawdopodobnie zboczenia te wynikają w skutek powstrzymanego rozwoju wspomnionych części organizmu. U jednych indywiduów zachodzi złączenie oczu, konch słuchowych, nerek, płuc, półkól mózgowych, palcy, zębów, żeber, lub przyrost języka do podniebienia. U drugich znowu napotykamy nieprawidłowe rozdziały jak rozdwojenie ust, rozczepienie języka, podobnego w tym razie do istniejącego u gadów, i t. p. zboczenia. *Liczba* odgrywa z kolei znaczącą rolę w potwornościach królestwa zwierzęcego. U niektórych indywiduów liczba zębów dochodziła 72, w innych całkiem ich brakowało. Żebra i kręgi, zwłaszcza też ogonowe, ulegają często uderzającéj redukcyi, lub też występują w ilości wielce niestosunkowéj, nadnormalnéj. Rozczepianie się żeber u wielorybowych, było powodem klassyfikowania ich na kilka nowych gatunków, dopóki Van-Beneden nie okazał, że zachodziło tu tylko przypadkowe zboczenie, niedające żadnéj podstawy do gatunkowania. Często u zwierząt, równie jak i u człowieka, palce wcale nie występują—niekiedy zaś wyrasta ich 6—7—8 w każdym ręcznym i nożnym członku. Rzecz szczególna, palce tak pomnożone, od rodziców przechodzą na potomstwo z pokolenia w pokolenie. Przykłady ludzi opatrzonych sześciu palcami, były bardzo liczne u Rzymian. *Włos* przedstawia niemniejsze osobliwości. Psy, tak zwane *tureckie*, są całkiem go pozbawione—u ludzi przejawia się niekiedy w takiém bogactwie, że gęsto na całém rozradza się ciele. Przejdźmy do zjawisk heterotazycznych.

Charakterystyczną ich cechą jest to, że wszystkie organa wewnętrzne przedstawiają układ *odwrotny*. Co powinno się mieścić z prawéj strony, znajduje się na lewéj, indywiduum zaś dotknięte podobnémi zboczeniami, nie ma o nich żadnéj świadomości. Wnętrzności odwrócone znaleziono przed kilku laty w zmarłym professorze uniwersytetu w Liège, Dressé'm. Nieprawidłowość tę dopiéro sekcya anatomiczna, po śmierci zarządzona, wykryła.

Według opinii Dareste'a, zboczenie to niezmiernie rzadko napotykane u człowieka i zwierząt, zdarza się natomiast często w zarodkach kury. Wspomniony też professor wytwarzał je sztucznie. W tym celu umieszczał on zniesione jajka w ten sposób, aby oś ich przyjęła położenie skośne względem osi rur ogrzéwawczych przyrządu posługującego do wylęgania kurcząt, i aby węższy koniec jajka był więcéj wzniesionym od szerszego. Jednocześnie potrzeba w tém doświadczeniu pewnego obniżenia w temperaturze. Wnętrzności tak wylęgłych kurcząt, przedstawiły odwrotności organiczne, w skutek nadnormalnego rozwoju zarodka od lewéj strony. Wszakże tą drogą otrzymane kury, są zawsze dotknięte wodną puchliną, i nigdy jajek nie niosą.

Niektóre zwierzęta, kształtu niesymetrycznego, mogą podpadać odwrotności ogółowéj organów, na zewnątrz się przejawiającéj. Wpośród nich napotykamy ślimaki. których pancerz muszlowy zwraca się w kierunku odwrotnym — ryby zwane *płaszczkami*, opatrzone z prawéj strony dwojgiem oczu, które przecież, w stanie normalnym, mieszczą się na stronie lewéj.

Hermafrodyzm należy do zjawisk potworności, które od najdawniejszych czasów obudzały żywą ciekawość. To złączenie się obu płci w jedném indywiduum, jest stanem normalnym w niektórych klassach zwierzęcych, w innych zaś zdarza się przypadkowo. Nie zapominajmy wszakże, że w wielu wypadkach hermafrodyzm jest tylko pozornym. U zwierząt ssących, a zwłaszcza u człowieka, jeden z przyrządów rozrodowych bywa zawsze tylko w stanie zarodkowym, rozwój bowiem jego powstrzymany zostaje w skutek wykształtowania się drugiego organu płciowego. Mniemanie, jakoby narzędzia płciowe hermafrodytów, tworzyły dwa osobniki wykształcone, do całkiem błędnych należy. Indywidunm jest zawsze jedno. Pomiędzy faktami przytaczanémi przez znakomitych autorów, nie możemy pominąć jednego, podanego przez Siebold'a, który obserwował go przez lat cztery w ulu pszczolnym. Hermafrodyzm wpośród pszczół, przejawił się temu naturaliście w jaknajrozmaitszych kombinacyach. Każde indywiduum przedstawiało cechy odmienne. Jeden z owadów z prawéj strony był samcem, z lewéj samicą; drugi reprezentował płeć męzką z przedniéj części ciała, żeńską w tylnéj i odwrotnie; inny był samcem wewnątrz, samicą na zewnątrz. Przytém u wielu, napotykał Sieboldt pierścienie naprzemian to męzkie to żeńskie—słowem natura wyczerpała tu wszelkie możebne stosunki.

Wypada nam wreszcie określić fakta zboczeń o wiele ważniejszych, którym głównie nadają nazwę *potworności*. W rzędzie tych mieścimy indywidua pozbawione ramion i goleni, których ręce i nogi są bezpośrednio w kadłub wciśnięte. Dziwotworom owym nadano nazwę *fokowatych*, z tego względu zapewne, że foki przypominają. Członki ich niekiedy nie mają palców, zdarza się też brak samychże członków, co przecież nie sprzeciwia się warunkom życia. Co innego zachodzi, w razie nieporządku członków brzusznych, zakończonych często jedyną tylko nogą, lub przysadką, jak u syren bajecznych. Życie wtedy trwa tylko kilka godzin, co również następuje w razie bezkształtności lub wypadnięcia wnętrzności, braku mózgu lub jego wyparcia z jamy mózgowéj.

Do potworów, które przychodzą na świat po to tylko, aby w krótkim czasie życie zakończyły, należą rodzące się z uschłym przyrządem nosowym, z oczyma zbliżonémi zbytecznie ku sobie, lub z jedném okiem w orbicie środkowéj czoła osadzoném, na podobieństwo cyklopów legendowych. Nos uschły, do trąby podobny, rzadko dosięga długości nosa normalnego. Potworność ta, posłużyła starożytnym do kreślenia postaci ludzi z głową słonia, o długiéj trąbie, z ogromnémi kłami i wielkiémi zwisłémi uszami. Uschłe policzki, łączące oba uszy na jednéj linii środkowéj, nie przedstawiają również warunków życia. Gdy głowa jest uschłą, lub zupełny jéj brak zachodzi—gdy ciało pozbawione wnętrzności, reprezentowaném jest tylko przez prosty worek,—życie kończy się z przecięciem sznurka pępkowego.

Jeżeli ciało przedstawia massę bezkształtną, złożoną głównie

z kości, zębów, włosa i tłuszczu, jestestwo takie utrzymuje życie jak pasożyt, kosztem matki, lecz utrzymuje je bardzo długo.

Potwory podobne, jakkolwiek bezwładne, mogą istnieć pół wieku, niekiedy zdarza się w nich widzieć drugie wyrzynanie się zębów. Starożytni przypisywali im własność poruszania się, pomimo braku członków ruchu—możność lotu bez skrzydeł—możność wchodzenia do jamy, w której ich rozwój nastąpił, na podobieństwo dydelfów.

Dotąd mówiliśmy o potworach pojedynczych — z kolei rozpatrzymy się w podwójnych, bardzo często przytrafiających się u człowieka i zwierząt. Buffon rozpisywał się szeroko o potworze dwukobiecym, znanym pod nazwą podwójną *Helena—Judyta*. Bliźnięta te urodziły się w Węgrzech w r. 1701, zmarły w 22 roku życia. Złączone były od tyłu. Inne bliźniaki, zrosłe z sobą czołem, przeżyły lat dziesięć. Bywały też przykłady złączenia głów tak od ich wierzchołka, jak od postawy. Sławni Bracia Syamscy, urodzeni w r. 1811 i dotąd zostający przy życiu, zrośli są z sobą dolną kończyną mostku (sternum:). Życie stało się dla nich tak nieznośném, że wielokrotnie zamierzali rozłączyć się.—Operacyą tego rodzaju dokonano zresztą szczęśliwie w końcu XVIII-go wieku, na dwóch siostrach, zrosłych z soba od urodzenia.

Zdarzają się w wyższym jeszcze stopniu, potworne połączenia. Niekiedy, bliźnięta mają tylko jedną wspólną klatkę piersiową; w tym razie z chwilą urodzenia śmierć następuje.

Potwory dwugłowe, z dwulicowém obliczem Janusa, również niedługo utrzymują się przy życiu. W podobnym razie połówka każdéj twarzy do jednego indywiduum należy. Historye bajeczne opisują nam ośmionożnych zajęcy, u których cztery nogi pozostawały w zwykłém miejscu, cztery zaś inne mieściły się na grzbiecie. Dziwotwory te ścigane przez myśliwców i biegiem zmęczone, miały dawać kozła gimnastycznego, przewracać się, i dalszą ucieczkę odbywać na owych nogach grzbietowych, dobrze wypoczętych. Istnienie podobnych potworów, nie jest bynajmniéj niepodobném: to wszakże pewna, że nie mogłyby używać tyle wygodnych nóg grzbietowych, gdyż życie takich indywiduów prędko się bardzo kończy. Pisano wiele o potworze zwanym *Rytta-Krystyna*, bliźniętach zrodzonych w Sardynii w r. 1829, zmarłych po upływie ośmiu miesięcy, w Paryżu. Zboczenie w nich było podwójném, w górnych częściach ciała. Co się zaś tycze nóg, z tych jedna należała do Rytty, druga do Krystyny, jak tego dowiodło łaskotanie, na nich odbyte. Śmierć Rytty spowodowała skon jéj siostry. Podobną podwójną potwornością, odznaczali się bracia Szkoccy, zmarli dopiéro w dwudziestym ósmym roku życia. Niekiedy, połączenie dwóch ciał bywa tak ścisłe, że z pozoru tworzą jakby jednę jednostkę.

Dla wyczerpania przedmiotu wypada nam pomówić o *potworach pasożytnych*. Wyobraźmy sobie indywiduum normalne, niosące na sobie stworzonko małe, żyjące jego kosztem. Pierwsze indywiduum wzrasta, drugie pozostaje w jedym stopniu rozwoju — zredukowane niekiedy tylko do kilku członków. Życie tego ostatniego jestestwa, zdaje się być jedynie wegetacyjném.

Jeden z ciekawszych potworów pasożytnych, był opatrzony główką wielkości zwyczajnéj, wciśniętą wierzchołkiem w głowę jestestwa normalnego. Niemniéj osobliwym był potwór dwugłowy, urodzony w Bengalu w r. 1785. Gdy przyszedł na świat, przerażona akuszerka rzuciła go w ogień płonący na kominku — wydobyty z tamtąd wkrótce się z ran wygoił—umarł zaś w piątym roku życia, ukąszony od żmii. Głowa dodatkowa tego dziwotworu, jakkolwiek niewiele wrażliwa, zdawała się wszakże podzielać radość i smutki głowy normalnéj. Podobny mu potwór, mniéj jednak wykształtowany, opisywany był w r. 1828 przez doktora Vattem.

Niekiedy przytrafiają się jeszcze osobliwsze potworności pasożytne. W jednem indywiduum żyje drugie, zamknięte wewnątrz ustroju pierwszego, niby w pudełku. Mieści się ono to we wnętrznościach, to w brzuchu, i lokal ten zajmuje bez wiedzy jego właściciela. Sekcya dopiero pośmiertna dobywa ztamtąd jestestwo pasożytne. U wielu osób znajdywano takie pasożyty, które żyły ich kosztem, w ciągu lat pięćdziesięciu i więcéj. Prawdopodobném jest, że w tém zboczeniu, mniejsze z dwojga bliźniąt przylega do wnętrzności większego i w nich się do pewnego stopnia rozwija.

Potwory potrójne są niezmiernie rzadkie — ulegają tymże prawom co i *podwójne*. Potworów *poczwórnych* wcale dotąd nie znamy.

Godném jest uwagi, że liczba potworności ulega znacznemu zmniejszaniu się, w miarę jak postępujemy do coraz niższych organizmów. Najwięcéj potworności napotykamy w zwierzętach domowych, a zwłaszcza w rasach ludzkich. Niektóre z potworów mogą przekazywać zboczenia swemu potomstwu—przelewać je w pokolenia następne. Najwyraźniejszy to dowód siły prawa *dziedziczności*, wskazanego i stwierdzonego doświadczeniami przez Darwina. Zboczenia do ważniejszych kategoryj należące, nie zapewniają życia indywiduom niémi dotkniętym, chyba w tym razie, gdy się przejawiają w potworach pasożytnych.

U potworów podwójnych, istnieje dualizm fizyczny i moralny; wrażliwość wspólna ma miejsce tylko w punktach zetknięcia części z sobą zrosłych. Ulegając w ciągu całego swego życia jednym wpływom, istoty takie najczęściéj mają jedne pojęcia i pragnienia, chociaż nie zawsze myślą i działają identycznie. Ztąd też zachodzą między bliźniętami z sobą zrosłémi, nieporozumienia i kłótnie. Wszystkie potwory podwójne dotąd obserwowane, były jednopłciowémi—brat zostaje fatalnym węzłem przykuty do brata — siostra do siostry — ale nigdy brat nie stanowi jednego z siostrą organizmu. Potwory złożone w połowie z ludzi w połowie ze zwierząt, w które dawniéj wierzono powszechnie, należy zaliczać do płodów wyobraźni. Związek płodny między człowiekiem a zwierzęciem, jest niemożebny. Mieszańców téj kategoryi dotąd nie napotkano.

Przyczyny wytwarzającéj się potworności, wypadałoby szukać w nieporządkach, mogących towarzyszyć zapładnianiu. Oddziaływają na nie zapewne tak wpływy zewnętrzne jak i wrażenia moralne. Dość długo utrzymywało się mniemanie, jakoby zachcenia matki były w ścisłym związku z jéj dzieckiem, narodzić się mającém, co więcéj, prorokowano o nastąpić mających zboczeniach w dziecku spodziewaném, z wrażeń jakie odbierała jego matka.—Bez wątpienia wpływy moralne, oddziaływając na ciało, wstrzymywać mogą jego rozwój—przedmiot wszakże wzbudzający w matce wstręt, lub pragnienie, nie ma téj siły, aby wycisnąć się zdołał na ciele dziecięcia, zanim to ujrzy światło dzienne.

Badanie praw, pod wpływem których zachodzą zboczenia, pozwoliło w wielu razach wytwarzać potwory sztuką. Dareste, jak już powiedzieliśmy wyżéj, otrzymywał tą drogą kurczęta z odwróconemi wnętrznościami; okazał przytém, że temperatura przy ich wykluciu wyższa od 40-stu stopni, wpływa na skorłowacenie drobiu. Według niego, powstrzymanie rozwoju jest najbliższą przyczyną wielu potworności pojedyńczych. Lereboullet podobnie manipulując z jajkami szczupaków, otrzymywał potwory podwójne i potrójne.

Z faktów, na które się tu powołalismy, wnosić wypada, że przyroda do pewnych tylko granic może odstępować od praw nią rządzących. Nie wyczerpała ona jednak jeszcze wszystkich zasobów swéj siły twórczéj.

Studya teratologiczne rozproszyły wiele przesądów, rzuciły wiele światła na anatomją, fizyologią i zoologią; stały się też nieocenionémi dla medycyny sądowéj, objaśniając kwestyą płciowości i życiowości. Teologja z nich niemniéj skorzystała; nauka bowiem okazuje, że wszelkie jestestwo żywe pod jakimkolwiek kształtem z kobiety zrodzone, jest istotą ludzką, obdarzoną duszą — że zniszczenie takiego jestestwa jest równie zbrodnią obrzydłą, jak zniszczenie istoty kształtnéj.

W naturze nic się nie wytwarza przypadkowo; najdziwniéjsze zboczenia są przecież zarządzane pewnemi prawami, których ogół daje wejrzéć w szeroki plan stworzenia. Piękno i brzydota, kształt i niekształtność, pochodzą przecież jedynie od warunków, w jakich nastąpiło poczęcie i rozwój jestestw organicznych. Warunki te głównie wpłynęły na niewyczerpane bogactwo form, jakie podziwiamy w przyrodzie; one towarzyszyły formowaniu się typów i dziwotworów.

W. Niewiadomski.

GAWĘDY PSYCHOLOGICZNE

Juliana Ochorowicza.

II.

Badania zewnętrzne i pośrednie.—Jak należy stosować powyższe środki do badania objawów duchowych.—Czy istnieją w tym względzie nieprzezwyciężone trudności?—Czy objawy duchowe są ograniczone przestrzenią?—Siedlisko duszy.

Oprócz czysto wewnętrznego uważania własnych naszych myśli, uczuć i popędów—mamy jeszcze inne dłuższe drogi, do poznania duszy ludzkiéj wiodące. Témi drogami są: *spotrzeżenia zewnętrzne* i *badania pośrednie.*

Spostrzeganie zewnętrzne polega na uważaniu innych ludzi.—Stara to prawda, że pożycie z ludźmi, jest źródłem niejednéj nauki. Tém więcéj zaś psycholog, badacz natury ludzkiéj, bez umiejętnéj obserwacyi otaczających go ludzi, obejść się nie może.

Ale nietylko w uważaniu zewnętrznych oznak myśli, uczucia i woli na twarzy człowieka, w jego mowie i ruchach znaleźć możemy naukę o władzach owéj ukrytéj dla oczów naszych siły, którą duchem nazywamy,—lecz nawet w opisach czynów ludzi i całych narodów, które dawno z powierzchni ziemi ustąpiły, w rozważaniu pomnikowych objawów historycznéj działalności tych ludów i poje-

dynczych osobistości, znaleźć możemy nieprzebrane skarby, dla powszechnéj, doświadczalnéj nauki o duszy.—Badania takie, nazwiemy *pośredniémi*.—Mamy zatém trzy drogi, do poznania siły duchowéj wiodące:

1) *wewnętrzną*—czyli badanie własnych myśli, uczuć i popędów.

2) *zewnętrzną*—czyli badanie myśli, uczuć i popędów innych ludzi nas otaczających.

3) *pośrednią*—czyli badanie myśli, uczuć i popędów, za pośrednictwem pomnikowych objawów ludzkiéj działalności w historyi. Przypuśćmy, że chcemy zbadać objaw *woli*—chcemy się dowiedzieć, czy wola ludzka jest siłą dającą się kierować, kształcić, doskonalić, czy działalność jéj zależy od jakichś wpływów dotykalnych, pobudek, oddziaływań—i jakich mianowicie? Czy też jest siłą odrębną od wszystkich innych sił przejawiających się w przyrodzie i w ludzkości—od obcych wpływów niezależną, wymykającą się zpod wszelkiéj przyczynowéj prawidłowości?

Pytanie to niezmiernie ważne. Dość wspomnieć, że od jego rozwiązania zależy cały kierunek wychowania, możność i sposób kształcenia charakteru, rozwijania samodzielności, obok utrwalania poczucia moralnego i poczucia osobistéj godności.

Jeśli siła i jakość woli zależy od równie naturalnych przyczyn, jak fizyczna siła organizmu,—to podobnie, jak możemy wykształcić silną i zdrową młodzież, będziemy mogli także podnieść w niéj siłę woli i moralne zdrowie ducha.

Jeśli przeciwnie, wola człowieka od zewnętrznych wpływów i pobudek zależną nie jest, jeśli z natury swojéj będąc samodzielną, sama przez się do wytworzonych w niéj saméj celów dąży; jeśli nie wskutek doświadczenia, ale przez z góry dane, wrodzone pojęcia lub kapryśną samowolność, przybiera taki lub inny kierunek—to znaczy się, że siła taka wymyka się z pod wszelkiéj prawidłowéj kultury, w któréjby i środki i ich następstwa ukazać i obliczyć było można. Nie moglibyśmy wówczas cieszyć się nadzieją, że psychologia i fiziologia, wykrywając prawa przyrodzone, które przewodniczą fizycznéj i duchowéj działalności naszego organizmu, wskaże nam też nieomylne przepisy i środki, udoskonalenie władz naszych mające na celu—musielibyśmy się wyrzec téj nadziei, że dobrobyt i moralność społeczeństwa wzrastać będą współcześnie z rozwojem oświaty, z rozwojem gruntownego wychowania. Jakże tedy zabrać się do rozwiązania téj kwestyi?

Poprzednie uwagi posłużą nam za dostateczną odpowiedź: należy badać objaw woli w sobie samym, w ludziach nas otaczających i w dziejach ludzkości.

Należy rozważać każdy czyn własny, dobadywać możliwych jego pobudek—sięgać myślą i wkoło siebie i poza siebie — notować wpływy na nas działające i te które już działać przestały—szukać w przeszłości usprawiedliwienia teraźniejszości—w tém co nas otacza, usprawiedliwienia tego co się w nas samych przejawia.

Niedosyć tego. Należy myśl badawczą na innych ludziach zatrzymywać. Uważać, co ich pobudza do działania—w jakim stosunku są ich myśli i uczucia do ich postępowania. Pamiętając o czynach, nie zapominać o przyczynach.

Ale i tego niedość jeszcze. Spostrzeżenia nasze nie miałyby téj cechy pewności, jaką im nadać pragniemy, gdybyśmy okiem badawczém nie objęli szerszego pola zjawisk narodów i ich historyi.—Statystyka i historya dają nam możność ująć zjawiska woli w całéj ich rozciągłości.

Widząc w cyfrach wyrażony stosunek pobudek działalności do niéj saméj—widząc w historyi owo stopniowe gromadzenie się przyczyn warunkujących objaw wielkich rewolucyj religijnych, naukowych i społecznych—ująwszy wreszcie te wszystkie wskazówki w jednę systematyczną całość, będziemy wiedzieli co sądzić o woli ludzkiéj i jéj wewnętrznéj naturze.

Tak też postępuje dzisiejsza nauka o duszy.—Materyały gromadzą się — pracowników przybywa i obręb prawd zdobytych wzrasta.

Wątpliwość co do możności ścisłego badania objawów duchowych, upada sama przez się. Że duszy saméj w sobie widzieć lub dotykać nie możemy, to nie znaczy jeszcze, że nie możemy badać jéj objawów. Czyż kto widział elektryczność samę w sobie, czy kto dotykał się którymkolwiek zmysłem siły magnetycznéj, przyciągającéj żelazo?—Nie—A jednakże zbadano je doskonale, *ponieważ objawy tych sił są przystępne dla naszych zmysłów*. Siła magnetyczna żelaza jest równie niewidzialną, jak psychiczna siła woli w człowieku. A jak siła danego żelaza okazuje się w jego stosunku do innych sztuk żelaza, tak też siła woli danego człowieka, okazuje się najdokładniéj w jego stosunkach do innych ludzi.

Nikt nie widział moich myśli, to prawda—ale czyż nie widzi w danéj chwili objawów tychże myśli — i czy mnie samego według nich nie sądzi?

Dawniéj stawiano inne jeszcze trudności.

„Jakim sposobem (mówiono) badać rzecz, niedającą się niczém ograniczyć, niczém zmierzyć? Myśl nie zna ani przestrzeni, ani czasu—myśl nie jest ani kwadratową, ani okrągłą—myśl trwa przez długie lata i nic jéj zniszczyć nie może.“

Mówiono tak w owych czasach, kiedy to jeszcze wolno było puszczać słowa na wiatr, nie rachując się z faktami—mówić o duszy zapominając o ludziach, i uważać za prawdziwe to, co mile dźwięczy w uchu, co pochlebia pewnym samolubnym zachciankom człowieka, wynosząc w deklamatorskich zwrotach bezgraniczność jego wolnéj myśli.

Myśl nie zna przestrzeni—powiadają. Rozpatrzmy to zdanie.

Przestrzennėm nazywamy to, co jest w jedném miejscu a w drugiém nie jest. Czy duch mój jest gdzie więcéj, oprócz we mnie? Zapewne nikt nie chce utrzymywać, że jego uczucia są gdzieś zewnątrz niego, że jego *ja* jest w téj chwili na księżycu, lub choćby tylko na jeden cal poza granicami ciała. Wiém, że mogę odbiérać wrażenia z przestworów międzyplanetarnych; wiém, że wyobraźnia może mnie przenieść na księżyc i daléj; ale wiém również, że przy tych wszystkich działaniach, duch nie przestaje być moim i we mnie, że powierzchnia organizmu jest granicą jego państwa, że żadne wysilenie woli niezależnie od jéj objawów nie zdoła poruszyć najdrobniejszego przedmiotu leżącego zewnątrz mego ciała.

Nie mogę ani chcieć ani myśleć zewnątrz siebie, podobnie jak nie mogę czuć wrażeń, które nie doszły do powierzchni mego ciała. Mogę widzieć gwiazdę na miljardy mil odległą od mego oka, ale wtedy tylko, jeśli fale świetlne od niéj wychodzące, doszły do mego oka i podrażniły nerw wzrokowy—najdrobniejsza zasłona nie dopuszcza czucia światła. Jedném słowem powierzchnia naszego ciała, jest przestrzenną granicą, poza którą nie może sięgać działalność naszych władz duchowych.

To co nazywamy duszą, ma zatém swoje siedlisko, swoje rozmieszczenie w przestrzeni. Zobaczymy zaraz, że siedlisko to da się jeszcze bliżéj określić.

Człowiek, któremuby odcięto obie nogi, a nawet i obie ręce, przypuszczając, że przeżyłby taką operacyą, niecby jednak nie stracił ze swoich władz duchowych.

Nie mógłby wprawdzie zaspokoić swé chęci chodzenia, pisania, a nawet i mówienia, jeśli przypuścimy, że i język mu wycięto—ale któżby przez to samo odmawiał mu możności pragnienia, możności odczuwania wrażeń i uczuć wewnętrznych, możności myślenia i zastanawiania się?—Możnaby nawet przypuścić, że człowiek ten stracił i wzrok i słuch, a jednak i wtedy nie mielibyśmy zasady odmawiać mu władzy myślenia, czucia i pożądania, gdyby tylko taki człowiek mógł się utrzymać przy życiu—ponieważ żadne z tych kalectw, osobno wzięte, nie pociąga za sobą utraty którejkolwiek z wewnętrznych władz duszy.

Dr. Nelaton przypuszcza nawet, że głowa człowieka ściętego, może przez pewien czas zachować myśl i czucie—odpowiemy na to przypuszczenie, mówiąc o warunkach objawu świadomości. Tymczasem wystarcza nam ogólne przekonanie, że siedliskiem władz duchowych jest głowa, a mianowicie *mózg*—że dopóki on jest nieuszkodzony, dopóki jest dostatecznie przez krew odżywiany, dopóty działalność władz duchowych, jest możebną. Wycinając stopniowo warstwy mózgu, powodujemy stopniowo też utratę intelligencyi, świadomości, władzy rozróżniania wrażeń i porządkowania ruchów.

Przed paru laty zauważono po raz pierwszy na gołębiu ciekawy fakt powrócenia owych władz w kilka miesięcy po wycięciu mózgu, przez który to czas sztucznie odżywiano zwierzę, wkładając mu w gardło pokarm. Po otwarciu czaszki przekonano się, że mózg odrastał, równocześnie z powrotem władz umysłowych.

Nie ulega przeto pątpliwości, że siedliskiem władz umysłowych, jest—mózg.

Nie będziemy daléj postępować na drodze wyznaczania siedliska pojedynczym władzom duszy. Jeśli niemożna określić ściśle miejsca, jakie zajmuje np. elektryczność w ciele naelektryzowaném, to tém mniéj możemy zakreślić dotykalną granicę dla téj lub owéj władzy duszy w massie mózgowéj. Co zaś zdołano w tym przedmiocie wykryć ścisłego—to zaznaczymy w odpowiedniém miejscu, a mianowicie, mówiąc o owéj geografii mózgowéj, dla któréj nasz Jan z Głogowy a po nim Gall, Spurzheim i ich następcy, starali się wykończyć cały szereg kart topograficznych.

SMUTNA PRZYGODA.

(Patrz rycina na stro. 400).

Pan Felix był ideałem *moralności*. Zawarłszy z panią Felixową, przed 20-stu laty jeszcze, dla samego tylko nienaruszania zwyczajów praojców naszych, małżeństwo tak zwane z *rozsądku*,—rozsądek też uważał za jedynego przewodnika we wszystkich sprawach swoich, tak, że w przeciągu 45 letniego żywota, będąc pod każdym względem wzorem obywateli kraju, mężów, ojców (miał *z rozsądku* i dzieci!) etc... jedyny raz tylko pozwolił sobie odstąpić od prawideł, których się zawsze trzymał wytrwale, a i to zpowodu utraty równowagi, o jaką go nagła radość z otrzymania od żony, na urodziny swoje, nowego garnituru sukien, przyprawiła.

Rzecz się miała tak:

Właśnie w chwili, kiedy pan Felix przymierzał sobie przed zwierciadłem, rajtrok, w którym go widzimy i mierzył radośném okiem wrażenie, jakie odzież ta na przyjaciół jego i znajomych wywrzéć koniecznie będzie musiała,—weszła do salonu, z poobiednią kawą, *Anusia*, służąca państwa Feliksów, Bogu duszę winna kobiecina, wzór także moralności, cnoty i *powstrzymania*, większy prawie jeszcze od pana Feliksa.

Uszczęśliwiony przed lustrem pan Felix, zapytawszy się naiwnie „czy dobrze wygląda"?—pozwolił sobie w odpowiedzi na approbacyą *Anusi*, szczypnąć dwoma palcami jéj brodę spiczastą, łącząc gest ten z grymasem, który zwykle robimy, kiedyśmy bardzo radzi—sobie, Bogu, ludziom, losowi, żonie, dzieciom, rozumowi swemu i.... swoim urodzinom!!

Lecz trzeba nieszczęścia, aby w téjże chwili właśnie, weszła téż do salonu pani Felixowa i, widząc gwałtowne cofnięcie się pana Felixa, żart jego *najmoralniejszy*, za objaw *najniemoralniejszego* występku ze strony jego małżeńskiéj wierności, przyjęła!

Zgroza, oburzenie, wściekłość prawie... zagrały razem na twarzy pani Felixowéj.

— „A! potworze!—Ona ci się podoba?—Wygonię ją zaraz!" zawołała.

I co tam później, po tém jeszcze było, na to z dyskrecyą zapuszczamy zasłonę..

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(*Ciąg dalszy*).

Dość jednéj fałszywéj nuty, by zepsuć najpiękniejszą harmonią. Obudzona ze swoich marzeń, Sybilla poczuła się samotną i zbliżyła się do schodów, aby zawołać na przyjaciółkę. Nie otrzymała odpowiedzi. Powtarzane wołania nie wydały żadnego skutku; zdecydowała się więc wejść na sienne schody. Po nich weszła, jak jéj się zdawało, na poddasze, a otwarte drzwi, których zrazu nie spostrzegła, objaśniały ją, dlaczego Blanka jéj nie odpowiadała. Drzwi te prowadziły na drugie schody, po których zeszła Sybilla w zrujnowaną część zamku. Odgłos prowadzonéj opodal rozmowy dopomógł jéj do prędszego wyjścia z labiryntu. Wkrótce stanęła w głuchém, zarosłém trawą podwórzu, w środku którego stało duże drzewo, z rozłożystemi, noszącémi zielone sklepienie, konarami.

— Blanko! zawołała żywo,—Blanko!

Na głos jéj zjawił się hrabia de Renneville, uśmiéchający się ze zdziwieniem.

— Gdzież pani byłaś? — zapytał; szukałem cię po całym domu... A gdzież jest panna Cains?

— Niéma jéj z panem? Zdawało mi się, że was słyszałam rozmawiających?

— Nie. Myślałem, że panie jesteście razem. Pójdę jéj poszukać.

Przeszedł przez nizką bramę, poza którą widać było jasne światełko słoneczne i powrócił wkrótce.

— Miss Cains znalazła drób,—powiedział, i tak się nim zajęła, że nie spostrzegła mnie wcale, gdym obok niéj stanął. Sprobój pani sama pójść do niéj.

Sybilla szła na palcach przez ciemne przejście, które ją wkrótce doprowadziło na podwórze folwarczne, gdzie miss Cains, poważnie siedząc na rozbitém krześle, karmiła całe stado kur z kurczętami.

— Co znowu! — zawołała Sybilla. Aż tu cię szukać trzeba?

— Szukałaś mnie?—rzekła miss Cains, nie obracając się. Ja tu od kilku chwil praktykuję nowe moje powołanie. Los dotąd mi rokował powołanie nauczycielki muzyki, otóż odkryłam, że właściwszém dla mnie zajęciem, jest drób, karmić. Ty jesteś Sara, to znaczy księżniczka; a ja jestem Etgar, co pewno znaczy niewolnica.

Sybillę tak zdziwiła ta mowa, że zamiast odpowiedzieć, spojrzała na hrabiego. Wydawał się równie zdziwionym, prawie pomięszanym.

— Brzydko robi Blanka, że tak mówi — pomyślała sobie Sybilla. Rozumié się, ja jéj nie wezmę tego za złe; ale obcym musi się to bardzo źle wydawać.

Schwyciwszy Blankę za ramię i oderwawszy ją od zajęcia szepnęła:

— Co ci jest?—co to się stało?

— Cóż się stać miało, moja droga?—zapytała miss Cains zwykłym swoim, pogardliwym tonem.

— Ale widzę, że ci coś jest,—nalegała Sybilla; pewna jestem tego. Czy cię obraził?

Spojrzała na hrabiego, który szedł przed niémi, uprzątając kamienie ze ścieżki.

— Czyż taki wzorowy rycerz mógł mnie obrazić? — odparła wesoło Blanka.

— Cóż więc się stało?

Blanka rozśmiała się, ucałowała Sybillę, nazwała ją kochaną hrabiną i uporczywie już milczała.

Od tego dnia ustał wszelki pozór serdeczności, grzeczności i dobréj woli między panną Cains, a narzeczonym jéj przyjaciółki. Ze zmartwieniem widziała Sybilla, że niechęć wzrasta ciągle—widoczniéj objawiając się w spojrzeniach, niż w słowach. Blanka zapytywana w tym względzie, zaprzeczała poprostu; hrabia de Renneville uśmiéchał się i starał się zbywać Sybillę pustémi słowami. Wkrótce Sybilla zbyć się nie dała i despotycznie zażądała odpowiedzi. Dał ją nakoniec w ten sposób.

— Na honor, bardzobym był szczęśliwy, gdybym mógł pozyskać przyjaźń téj, która jest pani przyjaciółką, ale usiłowania moje próżne. Przewiniłem w czémś,—to pewna; ale w czém?—trudno odgadnąć. Czy pani wié co w tym względzie?

— Nic. Formalne milczenie ze strony Blanki.

— Jakżeż więc mogę tłomaczyć się, lub przepraszać, jeżeli nie wiém, w czém zawiniłem?

— A chcesz pan na prawdę przeprosić?—zapytała Sybilla skwapliwie.

— Czy możesz pani wątpić? — Przecież jest kobiétą i przyjaciółką pani.

— Dobrze. Dam więc panu sposobność do tego.

— Jakąż?... jeśli wolno spytać.

— To już rzecz moja,—odrzekła wesoło Sybilla.

Hrabia de Renneville zastanowił się nagle, jakby mu nowa myśl przyszła do głowy.

— Daruj mi pani to pytanie, ale czy ów stryj pani, którego dotąd zaledwo raz widziałem, nie jest czasem zakochany w pannie Cains?

— Zaledwie ją zna,—odpowiedziała Sybilla, i jeżeli ją uwielbia, to bezinteresownie jak i pan....

— Może on pani tylko nic o tém nie mówi, — rzekł hrabia z powątpiewaniem.

— Toby mi Blanka powiedziała. Zresztą, dlaczego pan o to pytasz?

— Kiedyś w sposób przygany mówiłem o kolorze włosów tego pana; może panna Cains wzięła mi to za złe.

— O, nie! Zawsze sama wynajdywała coś do przygany w stryju Edwardzie.

— Zatém, nie mogę odgadnąć powodu niechęci.

Na drugi dzień wynalazła Sybilla ową sposobność przyobiecaną. W ciągu rozmowy toczącéj się między nią, hrabią i panną Cains, uchyliły się drzwi i Deniza wyszeptała tajemniczym głosem: „Proszę pani, przyszła uboga kobiéta." Sybilla zerwała się i powiedziawszy „Zaraz powrócę"—wybiegła wprzód, nim panna Cains mogła podążyć za nią.

— Czy źle wszystko ułożyłam,—myślała sobie Sybilla, zbiegając po schodach do pewnéj ubogiéj wdowy, którą od czasu do czasu wspierała, a po którą posłała umyślnie, za przybyciem hrabiego.

Rozmówiwszy się z wdową i obdarzywszy ją, Sybilla, miarkując, że już dość czasu pozostawiła do objaśnień pojednawczych między jéj kochankiem a przyjaciółką, wróciła do salonu. Znalazła ich w przyjacielskiéj pogadance, w dobrym humorze i widocznie w doskonałych stosunkach. Sybilla nie dała niczém poznać po sobie, iż zostawiła ich samych umyślnie, tylko później przy okazyi zapytała hrabiego:

— A cóż, pogodziliście się?

— Tak sądzę, — odpowiedział. Miss Cains nie powiedziała wprawdzie, czém się czuła obrażoną, ale przebaczyła wspaniałomyślnie.

Blanka zapytana przez nią, przy rozejściu się, zkolei, nie dała jéj również obszerniejszych objaśnień.

— Nie byłam wcale obrażoną, rzekła tylko z lekkiém zniecierpliwieniem;—ale naturalnie, jeżeli tak wnosił z mojego sposobu postępowania, widać że było coś niewłaściwego, co trzeba było naprawić. Weszliśmy więc zaraz w inny tryb postępowania i na tém koniec. Dobra-noc.

— Alem zręcznie was zbliżyła? — zapytała Sybilla, rada ze swego pomyślnie przeprowadzonego podstępu. Gdyby nie ja, tobyście może na zawsze tak kwaśno na siebie spoglądali.

— Więc nas umyślnie zostawiłaś samych?

— Rozumie się... i rozumnie postąpiłam,—odpowiedziała figlarnie, spoglądając w twarz Blanki, uśmiechającéj się jakimś przymuszonym uśmiechem. Blanka w jednéj ręku trzymała świécę, a drugą, niezbyt małą wprawdzie, ale ładną, białą, z długiémi paluszkami, oparła o ramię przyjaciołki.

— Chciałabym być taką, jak ty, Sybillo—Chciałabym być taką—i chciałabym, żebyś nie wychodziła za hrabiego de Renneville.

— Co!—wykrzyknęła Sybilla z oburzeniem.

— Tak, chciałabym tego,—mówiła daléj Miss Cains ze spokojem w głosie i wzroku. Ten człowiek nie jest dość dobrym dla ciebie. Tylko rozumiéj mnie dobrze; nic mu nie zarzucam; byłby doskonałym dla każdéj panny, takiéj... jak ja naprzykład: ale ty powinnaś miéć kogoś lepszego;—twój mąż powinien być podnioślejszego ducha. Co za szkoda, że Zielonooki jest twoim stryjem! Zarazbym powiedziała: Chwytaj go z całéj mocy!

— Blanko! Blanko! — zawołał zmięszana i niekontenta Sybilla. — Co też ty mówisz!

— Bez sensu, w istocie, — odpowiedziała miss Cains, tłumiąc ziewanie; nie bierz mi tego za złe — ale czasem jestem dzieckiem, i głos jakiś nie mój, mówi przezemnie. Nie wierz temu co mówiłam o nim, że podobny do Judasza i że nie wart ciebie—a co się tycze Zielonookiego, wiesz, że go nie cierpię.

Pocałowała ją i cicho opuściła pokój, a Sybilla uklękła i pomodliwszy się, zaczęła się rozbierać; ale i podczas pacierza i podczas rozbierania się i w łóżku jeszcze, dziwna a przykra myśl tłoczyła jéj się do głowy. Wkońcu, stanowczo powiedziała sobie — *nie!* i zasnęła spokojnie.

ROZDZIAŁ XXIV.

Od tego dnia hrabia i panna Cains w lepszych byli ze sobą stosunkach, a jednak było między nimi coś, czego Sybilla zrozumiéć nie mogła. Dlaczego hrabia był tak grzeczny dla panny Cains, a tak milczący o niéj, gdy była nieobecna? Dla czego Blanka takiéj saméj trzymała się taktyki? Czy wojna trwała jeszcze, a pokój był tylko pozorny? Nie mogła sobie na to pytanie znaleźć odpowiedzi.

Tak czas przechodził i szybko zbliżał się dzień na ślub przeznaczony. Panna Glyn, w zapale przysposobienia dla swojéj siostrzenicy hrabiowskiéj wyprawy, zapomniała dysput o kapitale, a zadanie jéj było trudne, bo Kennedy pieniędzy nie żałował. Panna Cains nie mniéj od panny Glyn zajęła się szczegółami wyprawy, którą formalnie dręczyła Sybillę. Dla téj ostatniéj jedyne błogie chwile były te które spędziła z kochankiem. Czułość była niepoprawna.

To też codziennie rosło jéj uwielbienie dla niego, dla jego honorowości i rycerskiego charakteru. Widziała, że gdy pisywał poezye i czytywał z nią, czynił to tylko dla przypodobania się, nie zaś z upodobania.

Pewnego jesiennego wieczora hrabia de Renneville zmuszonym był odejść wcześniéj niż zwykle, a Sybilla odprowadzała go aż do drzwi, w końcu ogrodu.

— Tędy będziemy chodzić—rzekł hrabia, czule ściskając jéj rękę.

Wiedziała dobrze co miał na myśli — tą ścieżką przechodzić będą dla odwiedzania ojca, jako już zaślubieni.

— Tak,—odpowiedziała — tędy będziemy chodzić. Zdaje mi się, że może za kilka dni będziemy zaślubieni—to nie do uwierzenia!

— Dlaczego?

— Bo kilka miesięcy temu, zaledwie słyszałam o tobie,—a teraz niepodobna mi pomyśléć, iż możemy być rozdzieleni.

Ścisnął jéj rękę w odpowiedź, i rzekł:

— A jednak dopóty nie będę się czuł pewnym, dopóki nie będzie po ślubie.

— Żartujesz?

— Nie. Życie moje było smutne. Sybillo ty jesteś piérwszym promieniem jasnym; nie dziw się iż boję się każdéj chmurki. Może twój ojciec, może ciotka zmienić zamiar.

— Ale nie ja!—zawołała Sybilla, patrząc z zapałem i szczerotą w twarz jego. — Ja jestem wierną i co przyrzeknę, tego już nie zmienię.

Ujął jéj rękę w obie dłonie i wzruszony zawołał:

— Jak dobrą jesteś!

— Nie, nie jestem dobrą—zawołała Sybilla—ale wierną.

Doszedłszy do drzwi ogrodu, pocałował jéj rękę, pożegnał ją i poszedł samotną drogą do zameczyska. Sybila stała czas jakiś i spoglądała za nim. Serce jéj było przepełnione. Dlaczego tak o nią się obawiał — czyż nie była jego, tak pewno, jak gdyby już słowa ślubu wyrzekła?

— Trzeba mi było coś więcéj dla uspokojenia go powiédzieć— myślała wracając do domu—ale jestem ograniczona i zimna.

Niekontenta z siebie, tém chętniéj wróciła do prac, któremi tak gorliwie zajmowały się panna Glyn i panna Cains. Znalazła obie te panie zajęte żywą, chociaż bynajmniéj nie nieprzyjacielską dysputą, o kolor czerwony i niebieski. Miss Glyn była za czerwonym, miss Cains za swoim ulubionym niebieskim. Dwa wspaniałe szale kaszmirowe leżały na krzesłach; czerwony był przepyszny, niebieski wytworny. Miss Glyn wskazywała na jeden, Blanka na drugi, a Sybilla siedziała, spoglądając po obu, i niemogąc się zdecydować.

— Czy to nie wspaniały szlak? zapytała panna Glyn.

— Patrz Sybillo na te kwiaty wijące się na tle niebieskiém— wołała Blanka.

— Moja droga, dziwię się, że nie widzisz o ile ten jest piękniejszy,—rzekła poważnie miss Glyn.

Sybilla spoglądała i obu paniom przyznawała słuszność; kupić jednak dwa szale zaduży był wydatek.

— Chciałabym,—rzekła nakoniec, aby tu był ktoś trzeci i poradził mi.

W téj chwili otwarły się drzwi salonu i stryj jéj Edward wszedł, jakby odpowiadając na życzenie Sybilli. Siedziała tyłem do drzwi i nie odwróciła się zaraz, miał więc dość czasu spotkać się z martwém spójrzeniem pannny Glyn i odpowiedzieć na nie poważnym ukłonem. Sybilla, ujrzawszy go, wydała lekki okrzyk radości i zerwała się:

— Stryju, stryju, jakże się cieszę!—masz gust doskonały—powiédz mi, który wybrać z tych dwóch szali.

— No, to miłe przyjęcie!—odpowiedział stryj, wstrząsając gęstą grzywą.— Nieoceniony jestem, bo w czas do dania rady przybyłem. Może i zdecydować między perłami a dyamentami?—dodał spoglądając na stół, gdzie leżały te klejnoty.

— Nie, — rzekła nieco pogardliwie Sybilla; zdaje mi się, że koniec końców, byłbyś stryju niewłaściwym sędzią.

— W takich szczegółach, pewno nie, moja droga.

Miss Glyn wzgardliwie rzuciła czerwony szal na krzesło i wyszła z pokoju.

— Czy stryj po obiedzie?—trwożliwie zapytała Sybilla, czując iż powitanie było niewłaściwe.

— Tak, dziękuję ci.

— Co za brzydki czas do podróży.

— To prawda.

Sybilla błagalnie spojrzała ku Blance, ażeby przyszła na pomoc kulejącéj rozmowie, ale ujrzała jnż tylko koniec jéj sukni, we drzwiach niknący.

— Zostań Sybillo,—rzekł pośpiesznie stryj Edward.

— Nie odchodzę.

— Siadaj tu obok mnie, chcę pomówić z tobą.

Sybilla zbliżyła się i stanęła obok niego.

— Czy boisz się siadać? — zapytał poważnie; dawniéj byliśmy w lepszych stosunkach.

Sybilla zarumieniła się i przysunęła krzesło do niego.

— Mam ci dużo do powiedzenia — zaczął; a najprzód, dlaczego panna Cains jeszcze tu pozostaje? Czy na zawsze ma tu już przebywać?

— A choćby tak było?—zapytała Sybilla urażona.

Podniosł wzrok i spojrzał na nią tak dziwnie, że serce Sybilli bić zaczęło; przeczuwała coś złego.

— Kiedyś przykro mi było, gdym widział jak rzeźnik głaskał i pieścił jagnię, które miał zamordować, — rzekł z głębokiém westchnieniem i znaczącém spojrzeniem.—Och, Sybillo, jakże pragnę przycisnąć cię do serca! — a jednak mam ci cios zadać!

— Stryju, stryju,—rzekła Sybilla; — co to jest? — cóż to być może?

— Czy bardzo go kochasz?

— Tak,—odpowiedziała stanowczo—kocham.

— Och Sybillo, co za nieszczęście! Biédne dziecko! A jednak musisz go porzucić!

— Nigdy!—krzyknęła Sybilla.—Nigdy!.. i nie wierzę stryjowi, bo zawsze byłeś mu nieprzyjazny. *(d. c. n.)*

NOWINY.

— Cesarstwo, to pokój! (L'Empire c'est la paix), powiedział były cesarz w jednéj z uroczystych mów swoich, w obec narodu i Europy. Cóż na to mówią fakta jego rządów? Jedno z pism Francuzkich, za pośrednictwem cyfr, zadaje kłam téj dewizie drugiego cesarstwa. W ciągu panowania Napoleona III,—słowa tego pisma,—zginęło w bitwach i umarło w lazaretach 400,000 francuzów i nie-francuzów. Wojna Krymska kosztowała Francyą 120,000 ofiar, Włoska 40,000, komedya Meksykańska 35,000, w Paryżu zaś, 2 grudnia 1852, padło 17,000 winnych i niewinnych. Słusznie W. Hugo powiedział w poemacie swym „Les Châtiments," że największą i ostatnią karą ekspiacyjną Napoleona I, jest Napoleon III.

— Francya, po zaćmieniu sławy swéj militarnéj, usiłuje, i bardzo słusznie, sławić przed oczami ludów wszelką swą znakomitość. Wkrótce ma stanąć pomnik Aleksadra Dumas'a, zmarłego w najsmutniéjszym peryodzie wojny Franko-Pruskiéj.

— W Strazburgu, zdruzgotanym pociskami dział pruskich, przystępują do odbudowania teatru.

— Szekspir doczekał się wkońcu pomnika. Posąg téj znakomitości Albionu, wraz z pomnikami Chaucer'a i Miltona, ma być ozdobą wielkiéj fontanny, przy wejściu do Parku-Lane, w blizkości Hyde-Parku.

— W Petersburgu, utworzono komitet do przyjmowania składek narodowych, w celu postawienia pomnika Puszkinowi.



„A potworze!—Ona ci się podoba?—Wygonię ją zaraz." (Kopia ze szkicu Grandville'a.

— 12 b. m. przypada całkowite zaćmienie słońca, które ma być widzianém na południu Indyi i Cejlonie. Z Anglii popłynął na ocean Indyjski, znakomity astronom Norman Lockyer, w towarzystwie innych specyalistów, w celu spostrzeżeń naukowych.

— Stowarzyszenie Petersburgskie „Obszczestwiennaja Polza" (Powszechna korzyść,) wydało 8 i ostatni tom dzieła, p. t. Rossya w obrazach. Są to dzieje Rossyi, od panowania Katarzyny II, t. j. od 1725 roku, po czasy dzisiejsze.

— P. Michał Lewy, rozpoczął na nowo, przerwane przez wojnę, wydawnictwo dzieł Balzac'a.

— Prassa peryodyczna Francuzka odzywa się wcale niepochlebnie o nowéj powieści p. Gaberiau „La clique dorée." Recenzent, którego zdanie ciska kamieniem potępienia w nowy ten utwór nieoględnego pisarza, dziwi się, iż Francya, po tylu klęskach, jeszcze nie nabrała wstrętu do podobnych zatrutych pasztetów. Czyż przyprawy tego rodzaju, za zdrowe dla nas, uważa łaskawy tłómacz téj powieści na język polski?

— Zapowiedziana wystawa przemysłowa w Wiedniu, ma odbyć się w maju w 1872 roku.

— W Paryżu od 15 grudnia, zapowiedziane są za obowiązujące kursa języka niemieckiego.

— P. Benda, po powrocie do Krakowa, wystąpił już na scenie tamecznéj, w roli Gustawa w „Ślubach Panieńskich," i przyjęty został oklaskami.

— P. Antonowicz Józef, tłómaczy podobno dzieło Darwina, p. t. „O zmienności zwierząt i roślin, pod wpływem hodowli."

— W salach redutowych mamy ujrzeć biust Chopin'a,—dłuta p. Syrewicza.

— Komedye oryginalne stają się u nas coraz rzadszémi; każde więc zjawienie się takowych na scenie naszéj i samo ich zapowiadanie, zaznaczamy z pośpiechem. Otóż, na scenie teatru rozmaitości, mają być wkrótce przedstawione dwie nowe oryginalne komedye: „Pracowici próżniacy" p. Bałuckiego — i „Mąż pięknéj żony," p. I. S. Jasińskiego.

— W tych dniach otwartą u nas została nowa drukarnia, przez pana Przybylskiego, na ulicy Długiéj, w domu p. Kronenberga.

— Sejm w Altenburgu otrzymał zawiadomienie o udzieleniu przez rząd 57,000 talarów, na założenie w tém mieście muzeum, na węgielną cegiełkę którego posłużą zbiory przekazane na ten cel, testamentem ministra stanu v. Lindenau.

— „Independance Belge" zapowiada umieszczenie w swych szpaltach pięknego romansu pana Hektora Malot, pod tytułem: „Un miracle."

— Prassie naszéj przybywa „Biblioteka Powieści, i Romansów," któréj wydawcą będzie p. Kaufmann. — Otóż się dopiéro rozromansujemy!

— W Berlinie Dr. Prochnow miał nader zajmującą konferencyą: „O pogrzebowych ceremoniach u chrześcian i pogan".

— Hr. Delley de Blancmesnil napisał dzieło, p. t.: Hr. Bismarck, czyli prawo siły, studjum historyczne.

— Biskup Anglikański Patteson, zabity został w Santa-Cruz.

— Opera Włoska rozpocznie swe przedstawienia w przyszłym tygodniu.

Do dzisiejszego numeru Opiekuna dołącza się prospekt na **Kolce** dwutygodnik humorystyczno-satyryczny.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis